

powrót lemkina

# Lakoniczny nekrolog w *New York Timesie*



Film o Lemkinie byłby wreszcie tą superprodukcją, która by światu opowiedziała, jak to było żyć między Hitlerem a Stalinem

WOJCIECH ORLIŃSKI

**R**afał Lemkin umierał w 1959 roku w Nowym Jorku w biedzie, samotności i poczuciu całkowitej zawodowej porażki. To zdumiewające, gdy pomyśleć, że jednocześnie już wtedy osiągnął sukces dostępny nielicznym – wykreowane przez niego pojęcie prawne weszło do języka traktatów i kodeksów, a także do języka potocznego, tak że dziś wielu z nas jest przekonanych, że istniało od zawsze, a nie zostało ukute w 1944 r. przez polskiego prawnika.

Tego przedziwnego pomieszania sukcesu i życiowej porażki nie da się wyjaśnić bez opowiedzenia o tragizmie polskiej sytuacji w XX stuleciu. Tak, gdyby porządnie zekranizować biografię Lemkina, mielibyśmy wreszcie tę historyczną superprodukcję, która by światu opowiedziała, jak to było żyć między Hitlerem a Stalinem.

## Wyjątkowe story: Polska

„Krajobraz biograficzny Rafała Lemkina” prof. Piotra Madajczyka ukazał się nakładem Instytutu Pileckiego – i to bodajże najbardziej wartościowe dokonanie tej instytucji. W teorii powołano ją przeciwko właśnie do dokumentowania polskiej wyjątkowości w XX wieku – bo żaden inny kraj nie wycierpiał tak bardzo z rąk Hitlera i Stalina, w dodatku z żadnym z nich nie kolaborując, przynajmniej jeśli chodzi o oficjalne struktury państwowe. Wszyscy nasi sąsiedzi, od Helsinek po Bukareszt, w końcu jednego z tych dwóch maniackalnych zbrodniarzy wybierali jako mniejsze zło. Zazwyczaj kończyło się to złe, utratą i cnoty, i rubla – ale chociaż obaj kusili także Polskę, Polska ich ofertę odrzuciła. Nasi przodkowie zapłacili za to straszliwą cenę, a i my ją na różne sposoby płacimy do dziś.

To jest z całą pewnością historia warta opowiedzenia światu tym bardziej, że w pewnym okresie świat – trochę zawstydzony, a trochę zaaferowany innymi sprawami – usilnie starał się o tym wszystkim nie dowiedzieć. Izolacja, w której Lemkin zna-

laż się w ostatnich latach swojego życia, również się z tego brała.

Nawet u zarania zimnej wojny, kiedy Stalin wreszcie przestał być sojusznikiem zachodnich aliantów, mało kto chciał słyszeć o jego zbrodniach. A już na pewno mało kto był gotów przyjąć optykę Lemkina, że to zbrodniarz taki sam jak Hitler. Nawet Amerykanie po 1945 roku woleli wierzyć, że ich były sojusznik mimo wszystko był jednak „mniejszym złem”, a „większe zło” ostatecznie rozliczono w Norymberdze.

Największe dzieło Lemkina, jakim jest międzynarodowa „Konwencja w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa”, za jego życia odniosło tylko połowiczny sukces. Jego przybrana ojczyzna, Ameryka, wprawdzie podpisała konwencję już trzy lata po wojnie, ale nie ratyfikowała jej za jego życia – zrobiła to dopiero w 1988 r. Międzynarodowy Trybunał Karny, o którym Lemkin marzył jeszcze w latach przedwojennych, zaczął zaś działać dopiero w 2002 r., a USA pewnie znowu uznają go dopiero po 40 latach.

Ale nawet jeśli w USA nie ratyfikowano tej konwencji, to jednak zrobiło to wystarczająco dużo państw, żeby w 1951 r. – a więc jeszcze za życia Lemkina – zaczęła obowiązywać w prawie międzynarodowym.

Można by oczekiwać, że prawnik, któremu udało się wymyślić przez siebie od postaw pojęcie przełożone na język międzynarodowego prawa i doprowadzić do skutecznego głosowania w parlamentach kilkudziesięciu państw, zdobędzie wystarczającą sławę, żeby mieć dobrze prosperującą kancelarię w Nowym Jorku. Albo wygłaszać wykłady na prestiżowych uczelniach za bajońskie stawki. No, w najgorszym wypadku otrzymać wygodną synekurę w jakiejś atrakcyjnej turystycznie ambasadzie. Tymczasem Lemkin umiera w zapomnieniu, w zasięgu krótkiego spaceru od gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nikt mu nie zaproponował tam choćby stanowiska urzędniczego? Przecież to nie ma sensu. Gdyby wymyślić taką postać fikcyjną w powieści czy serialu, krytycy czepialiby się naciąganego, nieprawdopodobnego zakończenia. Zwłaszcza ci spoza Polski – bo akurat my tutaj niestety znamy ten schemat aż za dobrze.

## Maczek barmanem, Lemkin odrzucony na Yale

Piotr Madajczyk wykonał herkulesową pracę: odszukał wszystkie istniejące materiały źródłowe, dzięki czemu udało mu się wyjaśnić trochę zagadek z życia Lemkina. Nie jest to jego pierwsza biografia (jej autor celowo zresztą unika tego słowa), pisał o nim już profesor Adam Redzik (za jego sprawą sam się zainteresowałem tą postacią), a w Anglii profesor Philippe Sands. Obaj są prawnikami, więc skupiali się na Lemkinie jako prawniku – a podawane przez nich informacje o Lemkinie „jako człowieku” były niepełne i nawet chwilami niespójne.

Książka Madajczyka nadal zostawia pewien niedosyt – nie z winy autora oczywiście, po prostu niektóre tajemnice Lemkin zabrał ze sobą do grobu. Niby o każdym można tak powiedzieć, ale w przypadku tego konkretnie bohatera dotyczy to już spraw tak podstawowych, jak „czy i gdzie zdał maturę”.

Stanisław Lem wspominał, jak podczas wkroczenia Niemców do Lwowa jakiś woźny z Uniwersytetu Jana Kazimierza proponował każdemu możliwość wbicia w dokumenty dowolnej pieczętki, bo



## HISTORIA Krajobrazy biograficzne Rafała Lemkina

PIOTR MADAJCZYK  
Instytut Pileckiego, Warszawa

właśnie wszystkim dotychczasowe życie waliło się w gruzy, ale kto wie, po wojnie może przydałaby się pieczętka pozwalająca uniknąć zdawania tego czy tamtego egzaminu. Lem z tego nie skorzystał, ale jak wiadomo, on sam po wojnie nie był całkiem szczery w swoich oficjalnych życiorysach.

Podobnie Lemkin. Kilkakrotnie znalazł się w sytuacji, w której całe jego dotychczasowe życie się waliło i musiał je odbudowywać niemalże od zera. Wygląda na to, że kilkakrotnie przy okazji „podrasowywał” swoje CV. I nie można go winić, bo zakładam, że on sam wolałby nie musieć tego robić, tylko wieść spokojne, prawidłowe życie Amerykanki czy Szwedki.

Nie było mu to dane. Czuł się Polakiem wyznania mojżeszowego – taką tożsamość podawał we wszystkich ankietach, czym potężnie sobie utrudnił życie. Przede wszystkim Hitler i Stalin byli zgodni co do tego, że taka tożsamość nie może istnieć. W ich upiornych wizjach każdy w Polsce musiał być albo Polakiem, albo Żydem – i różnili się tylko co do kolejności na listach do eksterminacji. Ludzie tacy jak Lemkin irytowali więc szczególnie, bo nie pasowali do ideologii i obnażali ich fałsz.

Na demokratycznym Zachodzie ta tożsamość Lemkinowi też niczego nie ułatwiała. Do dzisiaj czasami zdarza mi się, że muszę tłumaczyć jakiemuś prostodusznemu Jankesowi, że pisarz mógł pochodzić z miasta leżącego na terenie dzisiejszej Litwy, Ukrainy czy Białorusi, ale jednak być pisarzem polskim (a np. będąc Żydem, nie identyfikować się z ideą czy praktyką państwa Izrael).

Skoro już trafił na Manhattan, w samo serce legendarnego „tygla narodów”, pewnie powinien był po prostu stać się Amerykaninem. Ale nie chciał lub nie potrafił. Tak jak wielu Polaków po 1945 r. – Gombrowicz, Giedroyc, emigracja londyńska – pozostawał wierny ojczyźnie, której już właściwie nie było, bo przecież nie był nią PRL.

Dzielił los tysięcy emigrantów, którzy posługując się paszportami nansenowskimi – dla bezpaństwowców – usiłowali jakoś ułożyć sobie życie w nowym kraju, ale w tej sytuacji zawsze byli na rynku pracy obywatelami drugiej kategorii.

Lemkin na przykład po wojnie był profesorem na Yale. Pozornie był więc w lepszej sytuacji niż generał Maczek, który pracował wtedy jako barman w hotelu. Ale barman przynajmniej dostaje napiwki, Lemkin natomiast był „gościnnym profesorem”, czyli nie przysługiwała mu pensja. Jego stanowisko opłacał fundusz badań nad ludobójstwem, Genocide Research Fund, ale to były symboliczne środki, które w 1950 r. wyczerpały się całkowicie.

Uczelnia nie zdecydowała się na zatrudnienie go na normalny etat, co mogło być związane z tym, że gorąco lobbując za konwencją o zapobieganiu ludobójstwu, Lemkin narobił sobie wielu wpływowych wrogów w środowisku prawniczym i dyplomatycznym. Kiedy więc konwencja wchodziła w życie, on nie otwierał szampana, bo na głowie miał pilniejsze sprawy: odrzucane czeki bez pokrycia, wyrzucanie z mieszkania za niepłacenie czynszu, poszuki-

wania tańszego lokalu i wreszcie możliwie jak najtańszej jadalni w Nowym Jorku.

## Bon vivant z Kredytowej

Tymczasem jeszcze kilkanaście lat wcześniej był warszawskim bon vivantem. Mieszkał na Kredytowej w prestiżowej kamienicy, miał też letni dom w podwarszawskim wtedy Boernerowie, prowadził kancelarię w Alejach Jerozolimskich.

Do września 1939 jego życie przypominało amerykański sen. Przyszedł na świat w roku 1900 w powiecie wołkowyskim – wtedy to było imperium rosyjskie, dziś to Białoruś, ale w 1921 r. weszło w skład odrodzonej Rzeczypospolitej. Jak się wtedy wydawało, na wieki.

Jego rodzice byli ubodzy, bo musieli być – Żydom w imperium nie wolno było posiadać majątku, a już w szczególności majątków ziemskich. Jego ojciec prowadził jednak gospodarstwo rolne, które formalnie tylko dzierżawił.

Że była to sytuacja nierzadka, przekonałem się, pracując nad biografią Paula Barana, urodzonego w Grodnie inżyniera, który w USA sformułował techniczną zasadę działania tego, co dziś nazywamy internetem (a w latach 60. jeszcze „komutacją pakietów”). Jego dziadek, Hirsza Baran, też teoretycznie niczego nie mógł posiadać, ale widnieje w spisie płatników podatku od nieruchomości w swojej rodzinnej miejscowości Sidra. Rosja nie od dzisiaj słynie z tego, że różnych rzeczy niby nie można, ale jednak można.

W 1915 r. razem z pierwszą wojną światową na te ziemie przybyli Niemcy, a gdy wojnę przegrali, rozpoczęli powrót do domu. Ale teraz mieli do pokonania drogę przez nowe państwa, czasem odradzające się po latach nieobecności na mapie jak Polska, a czasem formujące się od zera, jak Białoruś (a mówiąc dokładniej, dwie Białorusie – narodowa i bolszewicka).

W innych rejonach Polski odzyskanie niepodległości wyglądało stosunkowo prosto – ot, Niemcy pozwalają się rozbrajać dzielnym peowiakom, z jednego balkonu przemawia Daszyński, a z drugiego Paderewski, kilka strzałów w Poznańskim, szast prast i po wszystkim. Grodzieńszczyzna była jednak terenem walk, początkowo politycznych, potem jednak zbrojnych, między Polakami, Litwinami i Białorusinami, a w końcu i teatrem bolszewickiej inwazji.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, mamy naturalny odruch sympatyzowania z tymi, którzy wtedy opowiadali się za Polską. Prof. Madajczyk stara się jednak pokazać nam punkt widzenia tych, którzy wcale nie widzieli w polskich żołnierzach wyzwolicieli.

Wieloletnia demoralizacja okrucieństwem Wielkiej Wojny w zderzeniu z korupcją na terenach dawnego imperium dawała straszną mieszankę.

W książce cytowane jest wspomnienie ze wsi Krynica, do której Polska wkroczyła reprezentowana przez „naczelnika Skarżyńskiego w towarzystwie wachmistrza żandarmerii Czerwca”. Obaj panowie udzielili miejscowym chłopom lekcji wychowania obywatelskiego. Polegała ona na tym, że chłopów pytano, który z nich dwóch ma większą władzę. Tych, którzy odpowiedzieli, że wachmistrz – bil naczelnik. I odwrotnie. Po tej lekcji „spotkali na swojej drodze Żyda i rozstrzygnęli, że należy go utopić, ponieśli więc Żyda do studni, dali się jednak przebłągać, ograniczając się do odebrania Żydowi butów”.

### Korzyści z wydalenia z UJ

Rzetelna opowieść o Lemkinie musi pokazywać podobne sceny. Był ich świadkiem jako gimnazjalista wkraczający w dorosłość. Gdzieś w okresie tego zawieszenia między różnymi państwami zdał maturę – ale nie wiadomo jak i według czyich przepisów (polskich? niemieckich? rosyjskich?). Wiadomo tylko, że w 1919 r. rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od wszystkich kandydatów wymagano wtedy odbycia służby wojskowej. Lemkin zapewnił, że społecznie pomagał jako protokolant w sądzie polowym.

Skłamał, co akurat wiadomo na pewno, bo sprawa w końcu wyszła na jaw. Madajczyk zwraca jednak uwagę na to, że Lemkina potraktowano łagodniej niż innych studentów przyłapywanych na tym samym. Co najważniejsze, wydano mu świadectwo odejścia (testimonium absendi) bez wpisania decyzji o wydaleniu, co pozwoliło na kontynuację nauki na innej uczelni, i to już z zaliczonymi dwoma semestrami.

Nie wiadomo, czym się kierował dziekan wydziału, profesor Stanisław Kutrzeba – może po prostu inaczej traktował studentów zdolnych, przykładających się do nauki, rozumiejąc ich trudną sytuację? W każdym razie innemu żakowi nie tylko odmówił wydania takiego dokumentu, ale jeszcze dodał: „Zwracam przy tym uwagę na haniebną polszczyznę Pańskiego podania, wprost niepojętą u kogoś, kto zdał maturę”.

Akurat Lemkinowi wydalenie z UJ wyszło na dobre. Studia wznowił na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, w którym panowało szczególnie podejście do prawa, inspirowane przez lwowską szkołę filozoficzną założoną przez Kazimierza Twardowskiego.

Twardowszczyk dążyli do nadania wszystkiemu matematycznej precyzji. Patrzyli na prawo jako na szczególny przypadek algebry. Spojrzawszy na zdanie: „Kto popełnia czyn zdefiniowany tak i tak, podlega karze takiej i takiej”, uczeń Twardowskiego widzi w nim algorytm, a więc matematykę.

(Nawiasem mówiąc, współczesna Polska wciąż odczuwa bóle fantomowe po utraconym Lwowie, stolicy rozsądku, logiki i praworządności. Wielu przykładów dostarczył ostatni rok, który upłynął pod kątem sporów, czy można ominąć kontrasygnatę prezydenta albo czy można „zlikwidować” media publiczne. W świecie „twardowszczyków” te spory byłyby niemożliwe, jak złamanie twierdzenia Pitagorasa – bo prawo byłoby jednoznaczne jak matematyka).

### Era społeczeństw homogenicznych

W okresie międzywojennym twardowszczyk uzyskali unikalną szansę zdefiniowania prawa od zera. W Polsce w roku 1918 obowiązywało pięć różnych ładów prawnych – jeden po zaborze pruskim, dwa po rosyjskim (bo inny był w Kongresówce, inny w guberniach imperialnych) i dwa po austriackim (bo inny był w Galicji, inny na Spiszu i Orawie).

Ujednolicenie tego było tytanicznym zadaniem, które w 1939 r., tuż przed końcem II Rzeczypospolitej, było już prawie gotowe. Obowiązywały już wtedy nowoczesny kodeks karny firmowany nazwiskiem Juliusza Makarewicza oraz przepisy gospodarcze skodyfikowane przez Maurycego Allerhanda. Choć mówiąc ściślej, wszystko to było dorobkiem ciała

kolegialnego – Komisji Kodyfikacyjnej, która cieszyła się tak ogromnym prestiżem, że przetrwała zamach majowy, proces brzeski i działała nadal po uchwaleniu konstytucji kwietniowej.

Członkiem komisji był profesor Emil Stanisław Rappaport, którego Lemkin poznał jeszcze na studiach. Jako absolwent uniwersytetu w Neuchatel Rappaport miał bogate kontakty międzynarodowe i Lemkin za jego pośrednictwem zaczął uczestniczyć w konferencjach, które – jeszcze pod egidą Ligi Narodów – próbowały kłaść podwaliny pod międzynarodowy ład prawny.

Pojęcie „zbrodni wojennej” sformułowano jeszcze w średniowieczu, ale dopiero konwencje genewskie i haskie przyczyniły się do nowoczesnego skodyfikowania podpadających pod to pojęcie przestępstw. Pierwsza wojna światowa i jej następstwa doprowadziły jednak do takich zbrodni, których konwencje nie przewidywały – takich jak wymordowanie Ormian przez rozsypujące się imperium osmańskie.

Lemkin później twierdził, że to była jego główna inspiracja przy tworzeniu koncepcji „zbrodni ludobójstwa”, choć z samego kalendarium jego życia wynika, że musiał być naocznym świadkiem pogromów Żydów lub ich bezpośrednich następstw, od grodzieńszczyzny po Lwów.

Lemkin zapewne był wstrząśnięty tym, że wieoetniczny świat – w którym wyznawcy różnych religii, przyznający się do różnych narodowości naraz, mogli współżyć w miarę pokojowo w sąsiadujących ze sobą obojętnościach – zamieniał się błyskawicznie w świat wymuszonej homogeniczności. Wielorakość etniczną postrzegał jako bogactwo i zasób całej ludzkości, dlatego ludobójstwo – czyli próbę unicestwienia całej grupy narodowościowej – uważał za zbrodnię, nawet gdyby dokonywać jej w białych rękawiczkach, niekoniecznie fizycznie mordując; przecież wynaradawiać można też poprzez przymusowe przesiedlenia, burzenie zabytków, propagandę itd.

Na wzór pojęć funkcjonujących w językach zachodnich: homi-cyd (zabójstwo człowieka) i sui-cyd (samobójstwo), Lemkin sformułował nowe słowo: genocyd. Madajczyk konsekwentnie trzyma się go w swojej książce, choć dziś potocznie używa się raczej spolszczenia „ludobójstwo” – dla podkreślenia, że chodzi mu o ścisłą definicję Lemkina.

### Przez Szwecję i Japonię do USA

Przed 1939 r. Lemkin jeszcze nie miał klarownej koncepcji tego terminu, godnej prawnika ze szkoły lwowskiej, choć pisał z potępieniem o totalitarnych praktykach ZSRR i Trzeciej Rzeszy. Tylko że pisał o nich wtedy jeszcze w najszcześniejszym okresie swojego życia, nie spodziewając się, że Holocaust jest w ogóle możliwy – w międzywojennej Warszawie, kiedy wydawało się, że polska armia może od tego uchronić, w końcu nasi byli tacy „silni! zwarci! gotowi!”. Jeszcze w pierwszych dniach września 1939 nie było oczywiste, że to już koniec tamtego świata. Prasa przez chwilę publikowała podtrzymujące na duchu doniesienia, że front się trzyma, a za chwilę alianci zainterweniują od Zachodu, więc damy Niemcom radę.

Jednak 6 września nagle zakomunikowano, że władze opuszczają Warszawę i wzywają do tego wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Lemkin wspominał potem, że było to tak za-



**Gorąco lobbując za konwencją o zapobieganiu ludobójstwu, Lemkin narobił sobie wielu wpływowych wrogów. Kiedy wchodziła w życie, on nie otwierał szampana, bo na głowie miał pilniejsze sprawy: odrzucane czeki bez pokrycia czy szukanie jak najtańszej jadłodajni w Nowym Jorku**

skakujące, że podejrzewał nawet, że to sprawka jakichś sabotażystów.

Kiedy jednak niemieckie bomby zaczęły burzyć eleganckie kamienice na Kredytowej, wątpliwości zniknęły. Nie było czasu na pakowanie, Lemkin „w jednej koszuli” wyruszył w stronę Wołkowyska, gdzie dalej mieszkała jego najbliższa rodzina. Pociąg zbombardowano, więc od Siedlec wędrówka Lemkina wymagała już improwizacji – czasem pieszo, czasem podwózką. Musiał też omijać niemieckie oddziały poruszające się szybciej od niego.

W Wołkowysku zastał krewnych i próbował ich namówić do ucieczki, ale na próżno. W rodzinnej wsi czuli się bezpiecznie. Wszyscy zginą w Holocauście.

Lemkin tymczasem zdążył przedostać się do Wilna, potem Kowna, potem do Rygi. Gorączkowo korespondował ze szwedzkimi znajomymi, prosząc ich o pomoc w załatwieniu wizy. Ani republiki bałtyckie, ani Szwecja wcale nie witały żydowskich uciekinierów z otwartymi rękami, wręcz przeciwnie.

Szwedzi wpuścili go pod warunkiem podpisania oświadczenia, że będzie kontynuować emigrację, jak tylko będzie to możliwe. Taka rzeczywistość była jego intencją, ale tymczasem wszystkie granice dookoła stanęły w ogniu. Plany dalszej podróży przez Belgię do Francji okazały się nieaktualne po upadku tych krajów.

Ostatecznie w kwietniu 1941 Lemkin dotarł do USA okrężną drogą – przez ZSRR i Japonię. Kilka miesięcy później ten szlak także się zamknął, bo Japonia zaatakowała Amerykę, a Niemcy napadli na ZSRR.

Mając sieć przyjaciół w całej Europie, wliczając w to kilku Szwedów, którzy nadal mogli w miarę swobodnie podróżować po Trzeciej Rzeszy i krajach okupowanych – Lemkin mógł zbierać materiały do swojego opus magnum „Axis Rule in Occupied Europe” (Rządy państw Osi w okupowanej

Europie). Kładł tam podwaliny pod definicję ludobójstwa, wymieniając jego osiem mechanizmów.

To kolejno: technika polityczna (niszczenie istniejących struktur administracyjnych i zastępowanie ich niemieckimi, jak Judenraty), społeczna (niszczenie struktur społecznych, np. inteligencji czy organizacji masowych), kulturowa (ograniczenie życia kulturalnego i używania języka, rabunek dóbr kultury), ekonomiczna (sztuczna pauperyzacja, przejmowanie przedsiębiorstw), biologiczna (obniżanie przyrostu naturalnego np. przez ograniczanie dostępu do służby zdrowia czy fizyczną separację mężczyzn i kobiet), religijna (zakaz praktykowania religii), moralna (propagowanie wśród okupowanej ludności pijaństwa, prostytucji i hazardu) i wreszcie fizyczna – obejmująca m.in. masowe mordy, ale także wszystko, co zwiększa „naturalną” śmiertelność, np. wypadki przy pracy.

Dziś potocznie ludobójstwo używamy za synonim masowego mordy, co prowadzi czasem do bolesnych nieporozumień – np. gdy dwa państwa kłócą się o to, czy coś można uznać za ludobójstwo. To zapewne dlatego prof. Madajczyk trzyma się konsekwentnie terminu „genocyd” – bo, jak widać, według lemkinowskiej definicji ludobójstwo nie musi się wiązać z eksterminacją, jest nim także np. odgrodzenie się od jakichś ludzi drutem kolczastym i pozostawienie własnemu losowi. I odwrotnie, nie każdy masowy mord jest genocydem (musi być częścią szerszego planu unicestwienia narodu jako takiego, dlatego np. zbrodnie wojenne nie zawsze spełniają definicję).

Ta definicja może się wydawać arbitralna i czasem sprzeczna z moralną intuicją, ale jest niezbędna. Twardowszczyki wierzyli w zasadę *nulla poena sine lege* – nie ma kary bez przepisu. Jeśli kiedykolwiek zechcemy kogoś wsadzić za kraty za ludobójstwo, musimy je najpierw właśnie bardzo precyzyjnie, wręcz aptekarsko zdefiniować.

Reakcje w Ameryce od początku były zróżnicowane. Prawda jest „tak makabryczna, że ludzie po prostu nie chcą w nią wierzyć”, wspominał Lemkin.

Koncepcja genocydu przyjmowała się z oporami. Lemkinowi udało się wziąć udział w procesach norymberskich, ale uzyskał tylko tyle, że to pojęcie pojawiło się w oskarżeniu, ale już nie w wyroku.

Wielu prawników, jak autorytet od prawa międzynarodowego Hersch Lauterpacht, uważało, że prawo powinno chronić jednostki ludzkie, a nie zbiorowości. Nie należy więc ścigać za próbę wymordowania Żydów „jako takich”, tylko za każdy akt morderstwa z osobna.

Lemkin celowo sformułował to pojęcie tak ogólnie, żeby w przyszłości można było o ludobójstwo oskarżyć także ZSRR i mocarstwa kolonialne. To z kolei wprowadzało go na kurs kolizyjny z tymi, którzy chcieli podkreślać unikalność Holocaustu jako czegoś, co spotkało wyłącznie Żydów.

Pierwsze lata istnienia ONZ to dla Lemkina okres spotkań z delegacjami poszczególnych państw, by przekonywać je do swojej koncepcji. Uniwersalność pojęcia genocydu sprawiła, że mogli się na to zgodzić dyplomaci z różnych kontynentów – co było sukcesem Lemkina jako negocjatora, ale niosło gorzki wymiar osobisty. Lemkin zyskiwał bowiem przyjaciół, którzy byli daleko – i wrogów, którzy byli blisko. Uniwersalność jego definicji nie była na rękę Izraelowi i Stanom Zjednoczonym (z różnych przyczyn).

Prof. Madajczyk podkreśla kilkakrotnie, że Lemkin łatwo zjednywał sobie ludzi. Czemu atrak-

cyjny i bogaty młody prawnik nie założył rodziny w międzywojennej Warszawie? Lemkin nie miał wtedy głowy do życia prywatnego, bo każdą wolną chwilę poświęcał pomocy rodzinie żyjącej w Wołkowysku, a zwłaszcza matce.

Po wojnie usilnie próbował odszukać bliskich. Ostatecznie okazało się, że ocalał tylko jego brat Elias, ale Lemkin nie przyjmował tego do wiadomości, szukał dalej, bo nadzieja umiera ostatnia. To się zapewne przyczyniało do ogólnego problemu, który Madajczyk podsumowuje lakonicznie: „Nie odnalazł się emocjonalnie na emigracji”.

Przed wojną Lemkin aktywnie działał w środowiskach syjonistycznych. Po powstaniu państwa Izrael dla jego dawnych znajomych niezrozumiałe było, czemu Lemkin upiera się przy polskości. Oczywiście, środowiska polonijne nie rozumiały, czemu ciągle musi podkreślać, że jest Żydem. Jego izolacja rosła.

W samej Ameryce koncepcja genocydu do dziś jest bardzo kontrowersyjna, od razu prowadzi bowiem do pytania: czy Stany Zjednoczone są winne tej zbrodni wobec Afroamerykanów? Działacze na rzecz praw obywatelskich błyskawicznie podchwycili koncepcję Lemkina, oskarżając USA o „Negro genocide” – Lemkin tymczasem na łamach „New York Timesa” odpowiedział w 1953 roku, że w tym przypadku można mówić o naruszeniu praw człowieka, ale nie o genocydzie (skoro jednak poziom życia Afroamerykanów systematycznie się polepsza). Zapewne przysporzył sobie tym wrogów po obu stronach barykady.

„Przekonanie Lemkina, że ludzie, którzy go otaczają, są wrogami jego koncepcji (...), zaczynało przybierać formę manii prześladowczej” – pisze Madajczyk, ale zaraz potem dodaje, że nie było pozbawione podstaw. Lemkin w latach 50. drażnił wiele grup, często o sprzecznych interesach. Dla polityków genocyd był dziwnym konceptem prawnym utrudniającym prowadzenie polityki. Dla konserwatywnych prawników był z kolei naruszeniem dogmatu, że ofiarą przestępstwa może być jednostka, ale nie abstrakcyjny „naród”.

Osoby komunizujące widziały w nim (słusznie!) zaprzysiężonego wroga ZSRR. Z kolei antykomuniści spod znaku senatora McCarthy’ego widzieli w nim kogoś, kto podburza mniejszości do buntu. Antysemita widzieli w nim, ma się rozumieć, Żyda – ale Żydzi widzieli w nim wroga syjonizmu.

Umierał jako bezrobotny, na progu bezdomności. Na pogrzeb na Mount Hebron Cemetery przyszło kilka osób. Lakoniczny nekrolog w „New York Timesie” przedstawiał Lemkina jako „nauczyciela, wykładowcę i pisarza” – nie jako twórcę pojęcia genocydu. To ostatnie przynajmniej wyryto mu na nagrobku.

W okresie zimnej wojny Lemkinem się nie zajmowano. „Ludobójstwo” weszło wprawdzie do języka prawnopolitycznego, ale jako jałowy chwyt retoryczny. Zachód i Wschód nawzajem się czasem o to oskarżały, ale panowało ciche porozumienie, „wy się nie czepiacie tego, co robimy w koloniach, a my się nie czepiamy tego, co robicie w gułagu”.

Dopiero genocyd w Rwandzie w 1994 roku sprawił, że na serio wrócono do koncepcji Lemkina. Dziś już nie wiadomo, jak mielibyśmy bez niej opisywać współczesny świat.

„Dorobek Lemkina nie należy do przeszłości” – konkluduje Piotr Madajczyk w finale książki. Pozostaje dodać: niestety. ●